

*Władysław Graban*

## ZRĄB ŻYCIA

Topniejący śnieg wypełniał przemoczone buty. Obolałe nogi dawały znać, że pora wracać do chaty. Watowane spodnie, pokryte lodem, były zupełnie sztywne i przy każdym kroku trzeszczały jak łamane polana. Również plecy jak pancerz żółwia stanowiły dymiący garb, usztywniony lodową łuską. Spod baranej czapy okalającej głowę wydobywały się ciepłe opary. W leśnej ciszy ta dziwna postać zdawała się zupełnie obca. Powtarzała wciąż te same ruchy — czynności.

Zamaszyste cięcia siekiery pozbawiały ściętą jodłę kolejnych gałęzi. Drzewo na wpół zanurzone w grząskim śniegu próbowało bronić się przed uderzeniami. Rozczapierzone konary jak ośmiornica oplatały korpus człowieka, obezwładniając go mackami igliwia, ale ten, wijąc się, parł naprzód. Ślady ciężkich stóp znaczyły korytarze, brodząc w śniegu zbliżały się do korony drzewa. W starodrzewiu niosły się tępe młaśnięcia siekiery. Obnażone ciało jodły zapłonęło żółcią. Opuchnięta kora wydzielala eteryczny zapach, rozsiewała woń igliwia. Człowiek dobrnął do końca długości drzewa. Pozostało mu kilka cięć. Odchylił jak uprzednio sztywny korpus i zabłysnął ostrzem w lekkim mroźnym powietrzu. Nie wykonał jednak ruchu. Zastygł w pozie i trwał w niej przez chwilę. Później odłożył siekiere i pochylił się nad koroną drzewa. Zgrabiałymi dłońmi zaczął dotykać zawieszonych wśród gęstego igliwia jodłowych szyszek. Każda z nich zamykała we wnętrzu skrzydlate nasienie, chroniąc je ciemnorudymi łuskami, skrzącym szronem ułożonym piramidalnie w kryształki. Chłodne szyszki szorstką powierzchnią drażniły twardą skórę dłoni — jak małe puchate ptaki nabierając ciepła, starały się opuścić klatkę palców.

Człowiek odszedł na bok, przystanął i zmierzył wzrokiem strzelistość kolejnej jodły. Odłożył jednak siekiere i szybkim ruchem nóg wykonał śnieżny kopiec na pniu ległego drzewa; gałęzie ułożył w długą przyzmę. Do pustej torby po cukrze, z której kilka godzin temu wyjadł śniadanie, włożył kilka zerwanych szyszek. Przygotowane zawiniątko schował za pazuchę i odszedł przez zmierzchający las w stronę chaty. Zebrane szyszki stawały się coraz cieplejsze. Ślad, którym przybył do miejsca zrębu, zbladł, a płachta śniegu zlewała się w spójną biel. Przeszedł przez polanę roziskrzoną gwiazdami i kiedy zdawało się, że jest blisko chaty, otoczyła go jedlinowa niemoc. Setki jodłowych gałęzek smagały tułów, twarz. Odrzucał je rękami i chcąc odnaleźć ukrytą ścieżkę, krążył wokół i wciąż trafiał w to samo miejsce. Szyszki w zaciszu pazuchy pęczniały, były mokre — prawie gorące. Pękły nasiona i nowy las pokrył miejsce dawnego zrębu.